

Paweł Dzianisz

Zagrożeni pobratymcy

Acta Cassubiana 6, 400-403

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

o działalności prawie ze szczętem zapomnianego studenckiego „Prołużu” – wszystko jakby uwieńczone antologią współczesnej prozy łużyckiej, *Naszyjnikami weselnej druhny*, którą mi „na pamiątkę męczącego (?) pobytu na Łużycach” ofiarował prof. Dietrich Scholze w budziszyńskiej „Domowinie”.

Po trzecie wreszcie – szkice Kubery i Sobeckiego jak świeży wiatr wytrącają z zastoju polskie zainteresowania heroicznym ludem, trwającym ponad tysiąc lat w niepokonanej swojszczyźnie kulturowej i bolesnym tytułem skłaniają do głębszej refleksji: tysiąc lat i co dalej...

Nowy znak przy drodze historii. Etapowy raport filmowca i dziennikarza z rzeczywistości, która zmienia się nam w oczach z szybkością ponad dobre i złe spoziewania.

Przed laty wybitny pisarz serbołużycki Jurij Brėzan stwierdził: „Jesteśmy jednym z najmniejszych narodów Europy i mamy wszelkie powody, by troszczyć się o swoje istnienie, a wydaje się mi, że jest ono zagrożone bardziej, niż kiedykolwiek dotychczas”. I tutaj jak byśmy już odnaleźli uzasadnienie tytułu przywołanych reportaży.

Książka rozpoczyna się rozdziałem bardzo sensownym, jeśli uzmysłowimy sobie, jak ograniczona w gruncie rzeczy jest w naszym społeczeństwie wiedza o owym Brėzanowym „jednym z najmniejszych narodów Europy”. Kaszubi stanowią chyba w przybliżaniu tematu chlubny wyjątek. A więc – gdzie to jest? Gdzie szukać tego tak bliskiego nam również geograficznym położeniem obszaru?

W jednym z „Zeszytów Łużyckich” (nr 7/1993) Agata Żochowska barwnie ukazuje nam Łużyce z lotu ptaka; owe 20 tys. kilometrów kw. między Górami Żytawskimi a jeziorami berlińskimi, doliną Szprewy, kanałem Odrzańsko-Szprewiańskim – z Dreznem, Kamjencem, Budziszynem, Wojerecami, Chociebużem.

Prof. Dietrich Scholze we wstępie do wspomnianej antologii współczesnej prozy serbołużyckiej przypomina „grupę etniczną Łużyczan” jako topniejącą bryłkę lodu na obszarze długości ok. 100 i szerokości 40 kilometrów, po obu brzegach Szprewy od Gór Łużyckich na południu po Błota na północy. Potomkowie dawnych słowiańskich plemion liczą dzisiaj (pisane w 1991 r.) niewiele ponad 50 tysięcy. Dziś wiemy, że owa bryłka lodu stopniała już do ok. 30 tysięcy serbołużyckiej ludności.

Reporterzy wprowadzają nas w łużyckie klimaty zwięzłe. Zachęcają do indywidualnych pogłębień tematu. Zaznaczają przy tym, że opowiadają o Górnych Łużycach. Na własnej drodze do Łużyc miałem okazję wędrować również po Błotach, zasługujących na tę nazwę siecią dróg wodnych, które zabezpieczają całe tam człowiecze bytowanie. Obie części Łużyc wpięte są w inne uzależnienia społeczno-polityczne odrębnych landów – Saksonii i Brandenburgii, o czym nie można zapominać.

Z sentymentem wspominam początki własnej drogi łużyckiej, czas dziennikarskiej aplikantury w „Polsce Zachodniej”, darzącej serdeczną sympatią akademicki „Prołuż”, którego gorliwym rzecznikiem był Alojzy Matyniak. Pojawiali się tam rów-

niez poznańscy członkowie Związku Studentów Łużyckich i mój redakcyjny mentor Tadeusz Paczkowski, który pokazał mi kiedyś Antoniego Nawkę, dodając, że nazwisko czyta się „Nauka”. Tam też, w takiej prołużyckiej okolicy przy Chełmońskiego, przy Kossaka, pojawiał się znany poznański poeta Wojciech Bąk, który koniec wojny spędził w Chociebużu, który łatwo zidentyfikowaliśmy jako Cottbus.

Z zapisu pamięci odszukuję sentymentalne prawie spotkanie właśnie w owym mieście, odszukuję Kukow, jak z baśni omglony zarys pańczyckiego klasztoru. Różant, jak łużycka Częstochowa. Po rozśpiewanej mszy młody murarz (co dobrze zapamiętałem) spisał mi Modlitwę Pańską: „*Wotče naš, kiž sy w njebjesach...*”. Chruścice z pomnikiem polskich czołgistów po tragicznym boju z grupą Schoenera. Nad stawem w dolinie pomnik Barta Čišinskiego. Symultaniczny kościół budziszyński, gdzie na półce z prasą katolicki „Katolski Posoľ” sąsiaduje z ewangelickim „Pomhaj Boh”. Budziszyńskie odkrycie śladów Ottońskiej pielgrzymki do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie. Schadzowanka w Kamjencu. Oskalpowana ziemia wokół Czarnej Studni... Dawne własne moje dzieje...

O swoich własnych przyjaźniach z ziemią i ludźmi opowiadają właśnie Kubera z Sobeckim, a jest to opowieść ciekawa i pouczająca. Jan Šolta, jeden z poznańskich studentów Łużyczan, w swoim *Zarysie dziejów Serbołużyczan* przypomina tendencyjną historiografię głoszącą, że na widownię dziejową naród wstępuje jedynie i dopiero w postaci państwa. Narody „bezzaństwowe”, które nigdy nie wykształciły własnej państwowości lub utraciły ją na rzecz innych państw, utraciły prawo do własnych dziejów. Oczywiście to już nie historia, a totalna herezja. To prawda, że przodkowie Łużyczan nie zdążyli wytworzyć własnego organizmu państwowego i już w końcu X wieku utracili niezależność. Po krótkotrwałej przynależności do Polski, od roku 1038 już stale znajdowali się w składzie zmieniających się państw niemieckich. Tak więc do końca XVI wieku znaczna ich część uległa, często pod przymusem, germanizacji. W swoim jądrze jednak przetrwała w owej „bezzaństwowości” jako naród, który przemógł wszystkie klęski, prześladowania, uciski, przenosząc swojskość etniczną zwycięsko – chciałoby się powiedzieć – śpiewając zaadaptowany przez Handrija Zejlera do własnej sytuacji polski hymn *Hišće Serbstwo njezhubjenne*.

Wchodząc w sedno serbołużyckiej tematyki, Marian Kubera opowiada swoją drogę do Łużyc, dość długą i dość okrężną, bo prowadziła go przez młodzieżowy obóz na Rugii i poprzez szkic Pola o Arkonie, a potem już – uśmiechnijmy się dobrotliwie – przez budziszyńską „Wanogę” i zaprzyjaźnionych w niej przy radebergerze ludzi. A pierwszym z nich był pisarz i publicysta Ben Budar. I jędna anegdota o ujmującym się za Serbołużyczanami Osmańczyku i generale Sierowie (który nazywa się Iwanow) pragnącym „Serbów” z Łużyc odesłać do Tity.

Z Sobeckim było inaczej. „*Moja łużycka przygoda* – rozpoczyna rozdział zatytułowany *Na początku był Lipsk – rozpoczęła się...*”. I tu już od siebie relacjonuje: „w złotych latach polskiego filmu” na Międzynarodowym Festiwalu fil-

mów Dokumentalnych w Lipsku. W hotelowym barze przysiadło się do „polskiej grupy” kilku niemieckich studentów, a niektórzy porozumiewali się w jakimś języku o słowiańskim brzmieniu. Okazało się, że byli to Łużycanie. Tamtej też nocy dr Alfred Krautz i student Toni Bruk zwierzili się ze swych śmiałych planów stworzenia podwalin pod łużycką kinematografię. I tak to Krautzowe Koło Łużyckich Filmowców przybrało z czasem kształt Serbskiej Filmowej Skupiny. Wygląda na to, że dróżka prowadziła ku pierwszej łużycko-polskiej koprodukcji. Ów „Kierunek Budiszyn” wspomni później serdeczny Sobeckiego przewodnik po Łużycach Gerat Hendrich. Przez niego poznał Wiktora Bełkota, kaprała 21. Pułku Ułanów Nadwiślańskich, który po wojennych i romansowych przygodach osiadł na Łużycach i nie przestał czuć się Polakiem, choć już kiepsko u niego z polszczyzną. Sobeckiego bruderszafty – Nowak, Hendrich, Krawza, Budar, Warnar, poszerzane zainteresowaniami jego żony Marty Sobeckiej łużycką literaturą dziecięcą i jej odkryciem powinowactwa łużyckiego Krabata z kaszubskim Remusem – te bruderszafty Sobeckiego z Łużycami pojawiały się w budziszynskim „Vjelbiku”, gdzie „wszystko ma swój koniec, a kiełbasa nawet dwa”.

No i Kubera po drodze, a z nim i Anton Nawka, bohater filmu. O Antonie i w ogóle Nawkach opowiadanie Kubery brzmi jak nowy scenariusz. Nie o samym Antonie, a w ogóle o losie łużyckim.

Tytuły rozdziałów same już opowiadają o zażyłej przyjaźni. Sobecki: *Gerat – dobry człowiek z Budziszyna*. Kubera: *Topniejąca bryłka lodu* z przypomnieniem wspomnianego tu wcześniej Dietricha Scholze – *Sąsiedzi*. I szkic z owym dla całości tomiku przejmującym tytułem: *Tysiąc lat i co dalej...*

Socjologia, etnografia, cmentarze. Koniecznie przerwa w lekturze dla nabrania głębszego oddechu.

Poszukiwanie odpowiedzi na to dramatyczne pytanie mogłoby samo i oddzielnie podkreślić potrzebę spotkania z książką Kubery i Sobeckiego. Co zrobi historia z tym wytrwałym, heroicznym narodem nad Szprewą i Elsterą? Jakie znajdzie on dla siebie miejsce w Europie regionów? Czy ten cudownie wytrwały, cierpliwy lud zdoła obronić swą narodową samoistość?

Po oskalpowaniu węglodajnej ziemi, po kolektywizacji, po odpływie młodej siły roboczej ze wsi do miast, przy rwących się więzach międzypokoleniowych, kiedy dziadek ledwie porozumieć się umie z wnukiem w rodzimym języku, przy cywilizacyjnym spustoszeniu, jakie niesie popkultura i elektroniczne media, przy rozcieńczeniu duchowej materii, glajchszaltującego samoświadomość wojska i studenckich styków z tzw. wielkim światem i jego postmodernistyczną politurą, przy mieszanych małżeństwach – przy tych wszystkich negatywnych doznaniach odśrodkowego przechyłu na wielkim cywilizacyjnym zakręcie – znajdzie się jeszcze miejsce dla historii, tradycji i wyraźnego głodu życiodajnych korzeni? Pomogą czy zaszkodzą państwowe zabiegi Saksonii i Brandenburgii w ratowaniu skarbu „małych ojczyzn”, czy też dalej topnieć będzie bryłka lodu i ani się spostrzeżemy, jak na

Łużycach powstanie rezerwat „ostatnich Indian Europy” – turystyczny magnes, skansen i krajoznawcza ciekawostka?

To pytania, które nam podsuwają szkice Kubery i Sobeckiego. Adresowane są także do naszych sumień, jakby tracących wrażliwość na losy sąsiadów, pobratymców i przyjaciół z Łużyc.

Książka Kubery i Sobeckiego została – powtarzam – napisana serdecznym atramentem, emanuje ciepłem osobistego przeżycia. Jest także opowieścią o urodzie ziemi, która wyhodowała jeden z najpiękniejszych kwiatów historii – niepodległego człowieka.

Marian Kubera, Władysław Sobecki, *Tysiąc lat i co dalej...*, wyd. Instytut Kaszubski i Muzeum piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, Gdańsk-Wejherowo 2002